



Mirosław Derecki

RECEPTA NA ŻYCIE

Czy zachował się gdzieś jeszcze na prowincji typ dawnego, zasiedziałego lekarza, człowieka tak mocno wrośniętego w miejscową społeczność, że stawał się swego rodzaju instytucją, zarazem będąc doradcą, powiernikiem i przyjacielem rodziny?

Pamiętam, że kiedy w dzieciństwie nagle zachorowałem, przerażeni dziadkowie wysłali wiadomość z Karczmisk do doktora Kapuścińskiego, mieszkającego wówczas w Opolu Lubelskim. Doktor, wyrwany z jakiejś rodzinnej uroczystości. Jechał nocą saniami kilkanaście kilometrów. Kiedy na miejscu okazało się, że choroba nie wymagała natychmiastowej interwencji, nie tylko nie okazał niezadowolenia, ale przesiedział do rana, pocieszając dwoje starych, strapionych ludzi. Gdy teraz od czasu do czasu dochodzą mnie wieści o osiemdziesięcioletnim doktorze, praktykującym w Nałęczowie, to natychmiast jawi mi się w pamięci postać czterdziestoletniego mężczyzny w zielonkawym, tweedowym garniturze, pochylającego się w świetle naftowej lampy nad moim łóżkiem. I przypominam sobie rozmowy z tamtych lat: „Jeżeli macie chorego w domu, ślijcie konie po doktora Kapuścińskiego. On na pewno pomoże.”

- Doktorze - pytam Henryka Paradowskiego - co spowodowało, że osiedlił się pan w Kazimierzu: szczególny urok tego miasteczka, względy materialne, czy judymowskie posłannictwo? Mimo młodego wieku, czterdziestu lat, zdobył pan sobie szacunek tutejszych mieszkańców, ma pan mieszkanie w Rynku, żona farmaceutka pracuje w aptece, dwie córki - Edyta i Sylwia - urodziły się już w Kazimierzu... Jak pan się widzi w roli współczesnego, „prowincjonalnego” lekarza?

- Do Kazimierza trafiłem po prostu przez przypadek - śmieje się doktor. - Pieniądze ani posłannictwo nie wchodziły wówczas w rachubę. Byłem na stażu podyplomowym w szpitalu w Puławach, gdy zaszła potrzeba zastępstwa w kazimierzowskim ośrodku zdrowia. Ówczesny dyrektor szpitala, dr Sączyński, zwrócił się do mnie z propozycją przyjęcia tego zastępstwa, a mnie się to nawet podobało: bądź co bądź samodzielna praca. No i zostałem. Co zaś do pasji judymowskich to myślę, że się one krystalizują z czasem, no i w dzisiejszych warunkach muszą wyglądać inaczej, niż przed pięćdziesięciu czy nawet przed dwudziestu laty.

Dzisiaj, na przykład, rzadko już spotyka się lekarza brnącego przez zasy do chorego w zapadłej wiosce, bo nawet do najbardziej odległych wsi dociera karetka pogotowia ratunkowego wezwana telefonicznie. Większość lekarzy na prowincji ma samochody, więc wizyty domowe też nie są problemem. Co wcale nie znaczy, że sytuacja lekarza na prowincji jest w dzisiejszych czasach łatwa. Po prostu jego działalność jest nieco inaczej ukierunkowana...

I tutaj doktor przytacza przykład przedwojennego lekarza-społecznika Kazimierza - dr Tyszkiewicza. Cieszył się ogromnym szacunkiem dzięki swojej niezwyklej pracowitości, poświęceniu oraz temu, że od biednych zazwyczaj przyjmował tylko symboliczne honoraria. A biednych wówczas w Kazimierzu nie brakowało, szczególnie wśród ludności żydowskiej. Osiedli w oddalonej od centrów medycznych miejscowości, musiał być zależnie od potrzeby internistą, położnikiem, ginekologiem, i chirurgiem. Z własnej inicjatywy czuwał nad szeregiem akcji, mających na celu podniesienie higieny i warunków zdrowotnych. Potrafił jeździć do powiatu i wyklócać się o miejsce w szpitalu dla swoich podopiecznych. Zmarł w sile wieku, ale wdzięczni kazimierzanie nie zapomnieli o nim i jedna z głównych ulic miasteczka nosi imię doktora Tyszkiewicza.

Kazimierz miał zresztą zawsze szczęście do lekarzy - dokumenty z przełomu XVI i XVII w. wspominają o osiadłym tutaj włoskim cyruliku Joachimie Fontanie i o jednym z jego następców, medyku miejskim Wojciechu Kuczewskim, doktorze medycyny i filozofii. Natomiast niejako tradycyjnie, od połowy XVII w., kiedy wzniesiono tutaj budynek szpitalika przy kościele św. Anny, miasto ma kłopoty z zapewnieniem służbie medycznej odpowiednich warunków pracy.

Gdy pod koniec lat sześćdziesiątych świeżo upieczony absolwent Akademii Medycznej w Lublinie, Henryk Paradowski, rozpoczął pracę w tutejszym ośrodku zdrowia, zaadaptowany prowizorycznie stary dom Ulanowakich przy ul. Senatorskiej nie miał kanalizacji, ani nawet wody bieżącej. Wokół budynku rozciągał się brudny plac przeznaczony na postój furmanek, piętro domu - dwie ogromne komnaty - przedzielono drewnianymi, nie sięgającymi sufitu przepierzeniami na kilka „boksów”, w których przyjmowali lekarze.

Były to warunki urągające podstawowym zasadom higieny, sprawiające także wrażenie na człowieku, który jeszcze niedawno słuchał z przejęciem wykładów profesorów na temat organizacji współczesnej służby zdrowia.

Może to właśnie wówczas, w czasie pierwszego, zgrzytliwego zetknięcia się teorii z praktyką, zaczęły budzić się w początkującym lekarzu owe współcześnie rozumiane „społecznikowskie zapędy”, które po kilku latach sprawiły, że kazimierzanie wybrali dr Paradowskiego radnym Wojewódzkiej Rady Narodowej? Może też brano pod uwagę fakt, że doktor jest „swój”, że jest synem sołtysa z Góry Puławskiej i chociaż mógłby mieszkać w

Puławach - zdecydował się założyć dom właśnie w Kazimierzu? To przecież od lat naboląła sprawa: „przyjezdni” urzędnicy, fachowcy, działacze, mieszkający na stałe w Puławach i miejscowi inżynierowie czy lekarze - wyrrywający się za wszelką cenę do ośrodka przemysłowego. „Puławy rozbiły społeczność kazimierską” - powiada się dzisiaj w miasteczku nad Wisłą i jest w tym stwierdzeniu sporo prawdy.

U doktora wcześniej zaczęto doceniać jego dojrzałość, rzetelność i realizm życiowy. Włączał się do pracy społecznej niejako automatycznie. Nie pojawił się w Kazimierzu w glorii działacza studenckiego czy młodzieżowego społecznika. Nie składał efektownych deklaracji. Nie powoływał się na obfitującą w osiągnięcia przeszłość. Reprezentował studencką większość, która idzie „w teren” przede wszystkim dlatego, że są tam wolne etaty, a pytanie o swoje miejsce w życiu zaczął sobie zadawać już w warunkach konkretnej działalności.

Doktor wydawał się bardziej dorosły, poważniejszy od innych trafiających do Kazimierza absolwentów wyższych uczelni, Wkrótce okazało się, że jest też od nich starszy. Gdy otrzymując lekarza składał przed rektorem „przysięgę Hipokratesa”, miał już 31 lat i był człowiekiem żonatym. Kiedy jego rówieśnicy zdawali na pierwszy rok studiów, on wkuwał zasady wiedzy medycznej w liceum felczerskim w Chełmie, a po jego ukończeniu przez pięć lat pracował w puławskiej stacji sanitarno-epidemiologicznej jako instruktor szczepień. W Puławach poznał Jolanę Zajdler, która właśnie wybierała się na studia farmaceutyczne.

Trudno jest podejmować decyzje pójścia na studia, kiedy ma się już dwadzieścia pięć lat, nieźle płatną posadę i własny ką.

Na zajęciach z propedeutyki lekarskiej przypomina się studentom starą rzymską zasadę: „primum non nocere” - przede wszystkim nie szkodzić pacjentowi. Przestrzega się też na przyszłość, żeby swoim postępowaniem zaprzeczać zasadzie, że choć człowiek człowiekowi wilkiem - „homo homini lupus est”, to... „medicus medici lupissimus!” , ale przede wszystkim cytuje się zdania angielskiego psychiatry Balinta, że najczęściej używanym lekiem w praktyce lekarskiej jest sam lekarz. Musi on - niezależnie od leków oddziaływać na pacjenta swoją osobowością, wzbudzać jego zaufanie, być osobą szanowaną nie tylko w sensie zawodowym, ale także w dużo szerszym pojęciu.

Wydaje się, że doktor Paradowski zasadę Balinta zna dobrze, chociaż nigdy o niej nie wspomina.

Czy współczesny lekarz pracujący na prowincji może kontynuować tradycje dawnego „lekarza rodzinnego”, o co zresztą ostatnio dopomina się coraz więcej medyków, nie tylko „starej daty”? Oczywiście, że mógłby, tylko przy obecnej organizacji i stanie służby zdrowia - po prostu nie ma na to czasu. Prowincja żyje zupełnie innym rytmem niż kilkadziesiąt lat temu, a przy powszechnym ubezpieczeniu lekarze padają z przepracowania.

Dzisiaj ośrodek zdrowia w Kazimierzu nad Wisłą ma personel składający się z trzech lekarzy-specjalistów. Jednego stomatologa, sześciu pielęgniarek, laborantki, pomocy dentystycznej i kilku płatnych sióstr PCK, zajmujących się opieką nad chorymi i niedołącznymi. Muszą oni zapewnić pomoc i opiekę lekarską prawie dziewięciu tysiącom osób z Kazimierza i okolicznych wsi. Jeżeli wziąć pod uwagę, że przez Kazimierz każdego roku przewija się pół miliona turystów i letników, z których pewna część ulega wypadkom lub znajduje się w trakcie leczenia, to oczywiście kolejki pod drzwiami gabinetów lekarskich ulegają znacznemu wydłużeniu. Doktor Paradowski jako rzecz zwykłą traktuje fakt, że dziennie przez jego gabinet przewija się ok. 50 pacjentów, chociaż „norma” przewiduje 25-30 osób.

Najwięcej jest chorych na różne dolegliwości reumatyczne. Kazimierz leżący nad samą Wisłą i w dolinie rzeki Grodarz ma klimat wilgotny i jest „idealnym” miejscem do rozwoju tego rodzaju schorzeń. Drugą pozycję zajmują choroby wieku podeszłego. Młodzi uciekają do miast, przenoszą się do Puław, lub - pracując w Puławach - leczą się w tamtejszych przychodniach przyzakładowych. Stąd w kazimierskim ośrodku przewaga ludzi starych, do których trzeba mieć odpowiednie podejście i dużo życzliwości. W Kazimierzu i jego okolicy występuje też problem ludzi samotnych i starych. Tutaj wielką pomocą są pracujące w ośrodku od ubiegłego roku siostry PCK.

W ośrodku zdrowia od dawna czeka wolny etat na czwartego lekarza, ale nikt się jakoś do Kazimierza - mimo jego uroków - nie kwapi. Zarobki nie stanowią atrakcji dla ewentualnych kandydatów, a przede wszystkim rzecz rozbija się o zupełny brak mieszkań. I jeszcze problem miejsca pracy dla nowego lekarza: w obecnych warunkach - mimo przeprowadzonych ostatnio prac remontowo-adaptacyjnych - czwarty lekarz musiałby przyjmować pacjentów na korytarzu. Wreszcie sprawa samego remontu: po jego zakończeniu okazało się, że wprawdzie grupa Remontowo-Budowlana ZOZ w Puławach doprowadziła do budynku wodę i założyła instalacje kanalizacyjne w pomieszczeniach przeznaczonych na sanitariaty, lecz zapomniano... o odpływie wody z umywalek w gabinetach lekarskich! Dzisiaj więc panowie doktorzy myją ręce pod kranem, ale pod umywalkami stoją - jak za czasów cyrulika Fontany - kubły na brudną wodę. Toczy się debata kto winien... Główni winowajcy są trudno uchwytli. W odpowiednim momencie pozwalniali się z pracy.

Doktor aktywnie uczestniczył zawsze w działalności Miejsko-Gminnego komitetu PZPR, w pracach Narodowego Funduszu Ochrony Zdrowia i Komitetu Opieki Społecznej, którego jest wiceprezesem. Od czasu gdy jest radnym WRN nęka instytucje wojewódzkie i ministerialne odpowiedzialne za wprowadzenie w życie planów rozbudowy Kazimierza. Z satysfakcją pokazuje mi pismo, z którego wynika, że wreszcie, po wielu latach starań, w 1979 r. ruszy budowa nowoczesnego ośrodka zdrowia między ulicami Lubelską i Nadrzeczną.

Znajdzie się tam m.in. podstacja Pogotowia Ratunkowego, a także dwa obszerne mieszkania dla lekarzy i sześć mieszkań dla pielęgniarek, co nareszcie chyba rozwiąże problem personelu medycznego w Kazimierzu.

Po monitach doktora w Wojewódzkiej Radzie Narodowej w Lublinie zostały wznowione prace przy budowie kazimierzowskiej obwodnicy, miasto wchodzi w drugą fazę prac kanalizacyjnych, czynione są starania o przeprowadzenie z Puław do Kazimierza odnogi gazociągu. Niestety, jedna z najważniejszych dla miasta spraw, budowa osiedla spółdzielczego, znowu się odwleka...

Ostatnio dr Henryk Paradowski zamknął swoje mieszkanie na dwa spusty, żonę i córki wysłał do rodziców w Puławach, a sam, obłożony podręcznikami w ciasnym pokoiku lekarskiej bursy w Lublinie, obkuwa się do egzaminów na drugi stopień specjalizacji z medycyny ogólnej.

Pierwodruk: „Kamena”, 1977, nr 5, s. 8-9.